

Kronika tygodniowa.

Zanim, w myśl obietnicy, przystąpię do kreślenia mych świątecznych perypetyi, muszę najpierw rozprawić się z niejaką panną Aliną, która, poczuwszy w sobie twórcze popędy, chce się bawić w autorkę i, zaczynając od zagadek, przesyła je Redakcyi bezinteresownie, ale... w nieopłaconym liście!

Wiadomem zaś powinno być wszystkim, więc także i autorkom, że pocztą jest taka niegrzeczna, iż za listy zupełnie lub niedostatecznie ofrankowane każe sobie płacić podwójne porto. Skąd my zaś do tego przychodzimy, by płacić karę za to, że pannie Alinie zachciało się pisać zagadki, które, nawiasem mówiąc, rozwiązanie znalazły w koszu?

Kolega redakcyjny, prowadzący referat zagadkowy, jest niepokieszony z tego powodu, a bardzo mi go żal, bo go lubię, jak (psy dziada w ciasnej ulicy!... przyp. zecera) brata, wołam więc, ile tchu mi w piersiach starczy:

— Panno Alino! Piękna jesteś czy brzydka, młoda czy stara, tłusta czy chuda, albo przestań bawić się w autorkę, albo, jeśli już chcesz koniecznie, nie posyłaj płodów swej fantazyi w listach nieopłaconych, bo to paskudny zwyczaj, zwłaszcza, że teraz czasy są bardzo ciężkie i szkoda każdego halera, wydane go niepotrzebnie!

Proszę się na mnie nie gniewać za to ojcowskie upomnienie, musiałem to jednak uczynić ze względu na przyjmujący się coraz bardziej zwyczaj korespondowania zapomocą nieopłaconych listów. Jest to dopuszczalne tylko o tyle, o ile one są przeznaczone dla żołnierzy, przebywających w polu, a ani panna Alina, ani redakcja „Nowości Ilustrowanych“ do nich chyba zaliczać się nie może.

Choć, oby to człowiek miał tylko tyle zmartwienia! Niestety mamy ich więcej, najbardziej zaś gryzie nas owa ewakuacja, wisząca nad nami, niczem miecz Damoklesa, a to najgorsze, że na nią nawet anisol nie pomógł!

Jak ona zaś będzie wyglądać, mieliśmy już przykład na ewakuacji wron z plant miejskich, czego dokonano w ubiegłym tygodniu na polecenie prezydium magistratu, które uznało, że śpiewają one zupełnie fałszywie i wobec tego mogą wpłynąć bardzo ujemnie na smak artystyczny Krakowian. Po cziwie nasze wroniska, które właśnie zabierały się do rozpoczęcia familijnego życia, z rozdziawionymi dziobami i rozdartem sercem patrzyły, jak osekami zdzierano ich gniazda, nawiasem mówiąc, bardzo podobne do modnych niedawno damskich kapeluszy. Co sobie przytem myślały, tego nie wiem, na psychologii wron znam się bowiem bardzo słabo, aczkolwiek żyję w przyjaźni z profesorami tego przedmiotu.

O owej ewakuacji myśli z nas każdy i ciągle mu się zdaje, że jedną nogą jest jeszcze w Krakowie, a drugą gdzieś w Starej Pace, kombinują też wszyscy zawzięcie, kto będzie musiał wyjechać, kto zaś zostanie. Nie przesadzę, jeśli powiem, że wobec tego sama wojna zeszła na drugi plan.

W pierwszym więc rzędzie spodziewamy się „wylania“ z urzędu wszelkich pesymistów i nastrojowców ze względu na to, iż źle oddziałują na otoczenie i, każdy na swój sposób, psują mu humor. Wiadomo zaś, jaki dobry humor ma wpływ na cały organizm i wszelkie funkcje życiowe, nie też dziwnego, że fizykat miejski nosi się z myślą szczepienia Krakowian rozweselającą surowicą wynalazku pewnego uczonego, a dowcipnego bakteriologa, który twierdzi, że musi ona zrobić dobrze, jeśli nie szczepionym, to bodaj wynalazcy i wytwórcy.

Z tego samego powodu nadają się do ewakuacji w szczególności kamienicznicy, upominający się o zaległe czynsze, szewcy, krawcy i kupcy, naprzykrzający się z rachunkami, adwokaci, prowadzący procesy i wszyscy inni, którzy w jakimkolwiek sposób trapią i prześladowają swych bliźnich, zamiast miłować ich, jak samych siebie.

Do tej kategorii zaliczyć się musi także teściowie i stare panny — sufrażystki, które niejednemu już zalały gorącego sadła za skórę. Nie mogą one absolutnie cierpieniami być w obrębie forticy, choć twierdzą, że i one mogą się na coś przydać. Wszak nawet gęsi przyczyniły się ongiś do obrony Kapitolu, w co ja jednak nigdy wierzyć nie chciałem i prawdopodobnie dlatego miałem w drugiej klasie gimnazjalnej dwóję z historii powszechnej i zoologii. Ponieważ zaś, gdzie jest dwu, tam znajdzie się i trzeci, wpakowano mi wobec tego i trzeciego „singla“ z łaciny, zapewne ze względu na to, że tu chodziło o Rzym.

Że więc i ciało nauczycielskiemu powinienem

zyczyć z tego powodu wesołej ewakuacji, zrozumie to każdy bardzo łatwo. Przyznam się też, że była u mnie deputacja młodzieży szkolnej obojga płci, z prośbą, bym poruszył w kronice, iż byłoby wskazaniem, aby profesorowie opuścili jak najrychlej rejon fortyfikacyjny. Ja jednak nie jestem znowu tak mściwy, przebaczam wyrządzone mi krzywdy. Niech zostaną, jeśli im tu dobrze i siedzą spokojnie na tem, co u mnie najbardziej cierpiało, gdy przyniosł świadectwo z dwóją do domu rodzicielskiego.

Przedewszystkiem zaś powinno się usunąć z miasta żarłoków, ci bowiem mogą stać się bardzo niebezpiecznymi i, jak to powiadają, objeść nas z kretelem. W tym celu powinno być z urzędu wyznaczone *maximum* peryferyi cielesnej. Kto je przekroczy, musi być wyewakuowany. Z całą surowością wystąpić się powinno także i wobec chudych żarłoków, są to bowiem faryzeusze i symulanci!

Jeśli ewakuacja przeprowadzona zostanie według mych wskazówek, jestem pewny, że Krakowowi nie będzie grozić żadne niebezpieczeństwo, przeciwnie, nastaną nawet złote czasy, jakich najstarsi nie pamiętają. W międzyczasie postaramy się zaś, by niektórym z wyewakuowanych, n. p. kamienicznikom i teściowym zabroniono raz na zawsze powrotu do miasta.

Nie wiem, jaki los spotka ową Czeszkę, która przy ulicy Lubomirskich wróżyła Krakowianom, ale przeważnie same złe rzeczy i doczekała się tego, iż oskarżono ją w policyi, że się jej przepowiednie nie spełniają. Ja, gdyby to odemnie zależało, nie tylko nie ukarałbym jej wcale, owszem nawet należałoby wynagrodzić, bo chyba nikt nie powinien się gniewać jeśli nie spełni się coś złego. Gorzejby było, gdyby z tym samym skutkiem przepowiadała same dobre rzeczy.

Kraków jest stolicą, powinien więc mieć swoją panią de Thèbes, spodziewam się też, że biedaczki nie wyewakuują, zwłaszcza, że i ja wybieram się do niej, by zasięgnąć jej światłego zdania, czy obecna wojna skończy się i kiedy. Potem porówna się jej orzeczenie z innymi tego rodzaju i zaczeka, kto też będzie miał rację.

Zabierała już głos w tej kwestyi pani de Thèbes, Kitchener i jego siostra, generał French i wielu innych, do nich dołączyć należy jeszcze owego ex-ministra, który twierdzi w jakimś włoskim piśmie, zdaje mi się, że w „Stampa“, iż pokój zawarty zostanie po roku prowadzenia wojny. Nie podaje jednak bliższych danych, na jakich opiera swe twierdzenie. Sądzę przecież, że wchodzi tu w grę albo ogólne wyczerpanie stron wojujących, albo też względy czysto administracyjne, wiadomo bowiem, że w myśl istniejących przepisów rok wojny liczy się podwójnie. Jeśli więc wojna potrwa rok cały, manipulacja będzie ułatwiona, choć wielka szkoda, że cały ten kram nie zaczął się w dniu pierwszego stycznia, a nie skończy w Sylwestra. To uprościłoby jeszcze sprawę, a dało także sposobność do pewnej oszczędności. W noc Sylwestrową pitoby bowiem równocześnie, i na ukończenie kroków nieprzyjacielskich, a nastanie normalnych warunków, do których tak wzdychamy.

Pozatem muszę zanotować i przepowiednię pewnej krakowskiej służącej, która miała być pono jasnowidząca i w swoim czasie opowiadała, że będzie wojna.

Tak się też stało!

Gdy ją pytano, kiedy będzie koniec, odpowiedziała: — Ho! ho! Ja końca jej nie doczekam! Skończy się jednak niedługo po mej śmierci...

Pocztą pantoflowa, przy pomocy której wiadomość ta doszła do mych uszu, doniosła mi, że właśnie z końcem marca służąca owa przeniosła się do wieczności, co usłyszawszy, westchnąłem serdecznie za jej duszę, mówiąc:

— Daj jej, Panie Boże, zdrowie za tę przepowiednię! Oby słowa jej spełniły się, ale nie w ten deseń, jak proroctwa owej Czeszki z ulicy Lubomirskich!...

Czekajmy więc, a doczekamy się przecież czegoś, choć, jak to „coś“ będzie wyglądać, nikt z nas dziś jeszcze wiedzieć nie może, a tymczasem, zanim to się stanie, albo nas wyewakuują, albo zaasenturują, w każdym zaś razie zaszczepią bodaj jedną tylko surowicą.

A *propos* owego szczepienia, to lekarze są w ogromnym strachu, a stolarze i przedsiębiorcy pogrzebowi wraz z nimi, jeśli bowiem pójdzie tak dalej, jak dotąd, to ludzie przestaną wogóle chorować i nie będą też umierać, wobec czego oni, nie mając tutaj co robić, zmuszeni zostaną *eo ipso* do dobrowolnej ewakuacji. Stać się to zaś może już w niedługim czasie, medycyna kroczy bowiem naprzód i to w tak zwanym „*gewaltmarschu*“ i niema dnia, by nie wynaleziono jakiej nowej surowicy ochronnej. Uczeń mężowie wysilają obecnie nad tem głowy,

by wynaleźć jedną uniwersalną. Gdy się ją zaszczepi dziecku bezpośrednio po urodzeniu, na całe życie będzie ono zabezpieczone przed wszelakimi infekcjami.

Ale i to nie każdemu się zapewne spodoba. Jeśli ludzie żyć będą wieki całe, awanse urzędnicze będą bardzo utrudnione i w jednej i tej samej randze będzie się musiało tkwić niewiedzieć jak długo, póki się nie usunie który z „*vordermannów*“. Ponieważ zaś żaden tego z pewnością dobrowolnie nie będzie chciał uczynić, zmusi się go, posyłając mu, dajmy na to, z urzędu pana fizyka, który już tam jakoś da mu radę!...

Na to jednak jeszcze dość czasu! Wiele wody upłynie i w Wiśle i w Rudawie, wiele rzeczy zmieni się na lepsze, lub gorsze!

Skoro już wspominałem tyle razy o owej ewakuacji, pójdę dalej tą samą drogą i pocieszę Krakowian, że to samo, co u nas, dzieje się i gdzieindziej.

Onegdaj wyczytałem w którejś gazecie, że generał francuski d'Armada który siedział na wyspie Lemnos, urządził stamtąd „ewakuację“ i znalazł się w Aleksandryi, w Egipcie.

Spyta kto może, jaki powód?

Czy spyta, czy nie spyta, ja mu powiem.

Pan d'Amade przeznaczony był na dowódcę francusko-angielskich sił, które miały za zadanie pomaganie flocie, forsującej wjazd do Dardanelli. Spodziewano się, że uda mu się wylądować i uderzyć z tyłu na Turków, co, gdyby się było stało, pan generał byłby się okrył nieśmiertelną chwałą, ozdobił swe skronie wieńcem z bobkowych liści i, jak słyszałem, otrzymał przydomek „Dardanelski“.

I tego się właśnie przeląkł, ktoś mu widocznie powiedział, w jakim znaczeniu używa się u nas tego wyrażenia, z którym niejedyn z Szan. Czytelników musiał się spotkać już w szkole normalnej, choć wówczas o Dardanellach miał takie pojęcie, jak dziś niejedyn fachowy krytyk o sztuce.

Zmienił więc pan d'Amade front i obecnie bawi w Afryce, gdzie w najbliższym czasie weźmie osobisty udział w polowaniu na krokodyla, aby wywiązać się z danej na odejźdnie swej teściowej obietnicy, iż, jeśli Konstantynopola nie zdobędzie, to przynajmniej przywiezie jej całkiem żywego krokodyla.

Ona zaś bardzo lubi zwierzęta. Ma już pieska, kotka, kanarka i tasiemca, krokodyl nie robi jej zbyt wielkiego ambarasu, zwłaszcza, że nawet te kwiozercze bestye mają respekt przed teściowami.

W najściślejszym związku z ewakuacją stoi też aprowizacja, na którą Krakowianie zwrócili w ostatnich czasach nadzwyczaj baczną uwagę. Każda gospodyni uważa dla siebie za punkt honoru, jeśli może pochwalić się przed przyjaciółkami całą stertą worków mąki i najrozmaitszych krup i kasz. Na tem tle powstało też najnowsze przekleństwo ewakuacyjno-aprowizacyjne, które brzmi: „A bodaj ci nulka stęchła!“.

„Nulka“ jest to mąka pszenna starego typu, dochodząca dziś cen bająskich (niewiele mniej kosztuje, niż najlepszy puder ryżowy w najdroższej aptece!), nie też dziwnego, że tego rodzaju odezwanie się panie nasze wyprowadza z równowagi i przyprawia o mdłości.

Niemal o kłopotu mają też niektóre osobniki z ogłoszoną zbiórką metali na cele wojenne. Przedewszystkiem nie podano, kto i kiedy tem się zajmie, nikt nie wie także, gdzie jest główne miejsce zbiorcze, jak również, kto tworzy miejscowy komitet.

Zgłosiła się u mnie onegdaj pewna starsza panna, która dobrze pamięta czasy wolnego miasta Krakowa, z oburzeniem, że komitet nie chce zbierać ani żelaza, ani stali, a ona na razie rozporządza tylko takimi metalami.

— Trudno! — odparłem — Ja na to nie poradzę.

— Ja tu dlatego przyszedłem, — ona mi na to — aby pan poruszył tę kwestję. Niech Kraków cały wie, że i ja chciałem na ołtarzu ofiarności publicznej złożyć swój dar dziewiczy...

— A jaki? — zapytałem z ciekawością.

— Tuzin brykli od sznurówki i — tu lekko się zarumieniła — w zupełnie jeszcze dobrym stanie druty i sprężyny z... turniury!... Pan wie, w dawniejszych czasach...

— Wiem! Wiem! Cóż jednak może komu przyjść z turniury pani dobrodziejki?

— Co? — odpowiedziała urażona — Drutów można użyć, dajmy na to, na szkielec do balonu Zepelina... Tyle lat były wystawione na działanie powietrza, to i teraz im to nie zaszkodzi!

— Niech się pani łaskawa zwróci z tem najlepiej wprost do hrabiego Zeppelina! — doradziłem.

Rada ta widocznie nie przypadła jej do gustu, opuściła bowiem lokal redakcyjny jakaś niezadowolona, a ja tymczasem, właśnie dzięki ukończeniu kronikę.